

Szczecinianin w zespole ABBA

[Johann-Sebastian-Bachinstitut • Stettin]

Chyba nikt z oglądających zmagania festiwalu „Eurowizja’74” w angielskim Brighton nie mógł przypuszczać, że zwyciężającą właśnie szwedzki zespół ABBA zrobi w przyszłości oszałamiającą karierę na świecie. Owszem, „Waterloo” okazało się przebojem. Ale jak to bywa z gwiazdami tego festiwalu, przebój – przebojem, a kariera toczy się swoimi torami. Na początku wszystko wskazywało na to, że i z ABBA los obejdzie się bezlitośnie. Pierwsze tournée ABBY okazało się porażką, ale już występy w szwedzkich Folkets Parkach przyciągały coraz większą rzeszę publiczności. Występowali tam z doskonałym zespołem jazzowo-popowym, który wspomagał ich brzmienie. Jednak coś niezwykłego musieli być w ich piosenkach, skoro „S.O.S.” i „Mamma Mia” zaczęły trafiać na pierwsze miejsca list przebojów. I nagle świat opanowała moda na ABBE, a po „Fernando”, a zwłaszcza po „Dancing Queen” – prawdziwe szaleństwo. Apogeum ich kariery to słynne tournée po Australii, podczas którego entuzjazm fanów przybrał niespotykane dotąd, wręcz niepokojące, rozmiary. Ich kariera trwała aż do rozstania w 1982 r. Potem już nigdy razem (z wyjątkiem krótkiego występu w telewizji w 1986 r.) nie wystąpili, nawet się nie pokazali. Odeszli w zapomnienie. Aż nagle w 1992 r. moda na ABBE powróciła. Ich stare płyty znów sprzedawały się doskonale, a dziś musical „Mamma Mia”, oparty na ich piosenkach, bije na świecie rekordy popularności.

W październiku 1976 r., w szczytowym momencie swojej kariery, zawitali na dwa dni do Warszawy, gdzie nagrali

program w „Studio 2”. Podczas jego listopadowej emisji na godzinę wyludniły się polskie ulice. Nie był to zresztą jedyny epizod styczności ABBY z Polską. W ich zespole akompaniującym pojawiali się muzycy o całkiem polsko brzmiących nazwiskach. Jakież było zdziwienie, gdy w ubiegłym roku dotarła do nas informacja, że jeden z nich, Wojciech Ernest, być może z pochodzenia jest... szczecinianinem. Przy pobieżnym sprawdzeniu okazało się, że w początkowym etapie kariery musiał koncertować z nimi akompaniując na instrumentach klawiszowych podczas występów w 1974 i 1975 r. A co najbardziej fascynujące – musiał być z nimi także podczas występów w Australii w 1977 r. Na portalu ukazał się wątek pt. „Wojciech Ernest – szczecinianin w grupie ABBA?” zapytaniem, czy ktokolwiek wie, czy ktokolwiek słyszał, czy to w ogóle jest prawdopodobne? Bo brzmiało wręcz niewiarygodnie i sensacyjnie. I nagle Wojtek, zawiadomiony przez swoją koleżankę, Agnieszkę Olszewską z Żychlina, odezwał się drogą e-mailową. Tak, towarzyszył im podczas występów. Tak, był z nimi w Australii. Tak, zna ich doskonale i nawet trochę się dziwi, że to dla nas aż taka sensacja, i że ktoś go sobie po tylu latach przypominał.

Wymieniłem z Wojtkiem wiele e-maili, w których sukcesywnie opowiadał, jak to wszystko się wydarzyło. Informacje uzupełniające jego wypowiedź dodałem w nawiasach kwadratowych.

Dzieciństwo na Pogodnie

Choć urodziłem się w Łodzi, świat i życie, jakie pamiętam, zaczęło się dla mnie na szczecińskim Pogodnie. Wychowałem się na parterze dwupiętrowego domu przy ul. Mickiewicza 103. Okno kuchenne znajdowało się od strony podwórka. Każdy z lokatorów miał tam małą działkę z drzewami owocowymi. Nasza, na której rosły trzy jeszcze niemieckie jabłonie, znajdowała się tuż przy wyjściu z kuchni. Latem drzewka owocowały bardzo obficie, wystarczyło nam na całą zimę. Czerwień „szabrowaliśmy” z innych działek. Mieliśmy jeszcze kilka krzaków agrestu i chyba porzeczek. Wszystko w dokładnym niemieckim porządku. W budynku mieściła się też restauracja „Słoneczna”, popularnie nazywana „Stonkiem”. Na wypadek, gdyby kogoś „porznęli” (co zdarzało się od czasu do czasu), w następnej bramie działała apteka. Przedszkole miałem na rogu ul. Wołoskiej i Konopnickiej, szkołę podstawową przy ul. Reymonta (do tej szkoły chodzili jeszcze wtedy nieliczni Niemcy, zajmując pomieszczenia całego drugiego piętra).



Ulica Mickiewicza 103, parter za werandą. Wszystko wyglądało tak, jak przed wojną.

Do szkoły muzycznej uczęszczałem na Staromłyńskiej. Byłem tam uczniem w klasie trąbki u prof. [Sergiusza] Arawskiego. Dyrektorem szkoły był wtedy prof. [Antoni] Huebner. Harmonii uczył mnie prof. Kwiatkowski, form muzycznych chyba prof. Roman Kraszewski, literatury prof. [Jadwiga Podbielska] Poczekaj, a kształcenie słuchu odbywało

się pod kierunkiem przesympatycznej prof. Czerwińskiej.

Szwecja

Szczecin opuściłem jako trębacz w 1969 r. wyjeżdżając na tzw. kontrakt Pagartu, by grać w szwedzkich knajpkach, w których zresztą toczyła się

większość życia rozrywkowego tego kraju. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności trafiłem do jazzowo-popowego zespołu „Beatmakers”, w którym grałem na instrumentach klawiszowych. Miejscem naszej pracy w lecie były przeważnie tzw. parki ludowe (Folkets Park), zimą grywaliśmy w tzw. domach ludowych (Folkets Hus). Oczywiście do tańca. Ponieważ grupa była znana i mieliśmy markę dobrych akompaniatorów, często angażowano nas do akompaniowania znanym artystom. Graliśmy wszystko – od szwedzkiego „umpa-umpa” do bardziej zaawansowanych coverów zespołów takich jak „Blood Sweat & Tears”, „Chicago” czy „Tower of Power”. Czasami nawet trochę jazzu i latin. Perkusistą zespołu był Roger Palm, jeden z najbardziej cenionych perkusistów studyjnych [ten, który w 1974 r. siedział za perkusją podczas występu ABBY w Brighton]. W „Beatmakers” na trąbce grał też słynny w Polsce w tamtych czasach Piotr Kot, występujący poprzednio w najbardziej chyba popularnej orkiestrze dixilandowo-rozrywkowej w kraju, pod kierownictwem Zygmunta Wicharego. Piotrek Kot miał nawet własny zespół o nazwie „Czarne Koty”, który często współpracował ze Szczecińską Estradą i zespołem „Filipinki”. Po jakimś czasie na miejsce Rogera Palma wszedł... jeszcze jeden Polak, Zbyszek Ryfa, który w Polsce współpracował z Big-Bandem Polskiego Radia, a w Szwecji – z bardzo znaną i cenioną polską grupą „The Lolas”.

Późniejszą ABBĘ poznałem w Göteborgu, chyba w 1970 r. [wcześniej ABBA występowała pod długą i niezręczną nazwą „Björn & Benny, Agnetha & Frida”. Nazwa „ABBA” została nadana dopiero w połowie 1973 r. – jeszcze przed występem na „Eurowizji”]. Występowali tam w restauracji „Trädgåren”, akurat z „The Lolas” [„Björn & Benny, Agnetha & Frida” występowali tam od 1 listopada 1970 r. – zresztą po raz pierwszy w swojej karierze razem!]. Dwie niezłe dziewczyny, dwóch chłopaków grających na ówczesną szwedzką modę „A show ‘bout nothing”, czyli... nuda, która nie pozostawiała nic po sobie [Benny i Björn śpiewali wtedy jedną z pierwszych piosenek „Hej Gamle Man”, w której „chórki” śpiewały Agnetha i Frida]. W tej orkiestrze grał także inny Polak, Kajtek Wojciechowski, który nagrywał później z ABBĄ i samą Agnethą (na jej solowej płycie) [Kajtek Wojciechowski wymieniony jest jako saksofonista w nagraniu piosenek ABBY „Does your mother know” i „On and on and on” oraz na płycie Agnethy – „Wrap your arms around me”].



Tournée po parkach ludowych. Od lewej: Wojtek Ernest, Torsten Dannenberg, Benny Andersson i Piotr Kot.

Pierwsze tournée z ABBĄ w latach 1974 i 1975

Kiedy ABBA wygrała w Brighton „Eurowizję” [6 kwietnia 1974 r.], tego samego roku zaangażowano cały „Beatmakers” (z trzema Polakami) jako zespół akompaniujący na pierwsze europejskie tournée. Odbiliśmy razem kilka prób

ABBY okazał się niewystarczającym do ustawienia dźwięku na żywo. Przyczyną powzięcia takich, a nie innych kroków, była raczej niewiedza niż chałturniczystoś stosunek do przedsięwzięcia. Cóż, łatwo jest zapalić gwiazdkę, nieco trudniej utrzymać jej blask. Nikt nie miał świadomości, co stanie się za parę miesięcy i dokąd to zaprowadzi.



Koncert w „Gröna Lund”.

i ruszyliśmy w drogę [między 17 a 30 listopada 1974 r. ABBA koncertowała w Danii, RFN i Austrii, a styczniu 1975 r. – w krajach skandynawskich]. Ale... świat nie był gotowy na przyjęcie ABBY, ani ABBA nie była gotowa na przedstawienie się światu. Z perspektywy czasu można powiedzieć, że to pierwsze tournée odbyło się wcale nie i zbyt amatorsko. Do współpracy na wszystkich niemal stanowiskach zostali zaangażowani znajomi i przyjaciele, którzy nie mieli odpowiednich kwalifikacji do organizacji i przeprowadzenia imprezy tego formatu. Jednym z wielu nieporozumień było zaangażowanie Michaela Tretowa jako reżysera dźwięku. Geniusz studyjny i główny architekt brzmienia

Całe tournée odbyliśmy w małym autobusiku marki Mercedes. Jedynie podróż do Berlina Zachodniego [22 listopada 1974 r.], w celu uniknięcia kontroli granicznej w ówczesnej NRD, odbyliśmy samolotem (troje Polaków posiadających paszporty uchodźców, w tym ja, i dziewczyny). Podczas tego lotu siedziałem obok Agnethy, która niemal przez całą podróż trzymała mnie za rękę. Powód? Lęk! Wydaje mi się, że jedną z przyczyn tak nielicznych w późniejszym okresie występów ABBY na scenach światowych, był właśnie paniczny strach Agnethy przed podróżami samolotem.

Następnego lata, podczas jedyne-go tournée [trwającego od 21 czerwca



Tournée po parkach ludowych. W głębi nasz autobus, widoczna część nazwy (BEA)TMAKERS.

do 9 lipca 1975 r.), jakie ABBA zrobiła w parkach ludowych, zostały pobite wszelkie rekordy publiczności. Koncert w wesołym miasteczku „Gröna Lund” w Sztokholmie [30 czerwca 1975 r.] zgromadził ok. 20 tys. ludzi. Ciekawostka – podczas koncertu wysiadła cała „elektryka”. Proszę sobie wyobrazić ciżbę, wydobywającą się spod klawiszy...

W czasie skandynawskiego i letniego tournée, my, czyli „Beatmakers”, podróżowaliśmy własnym dużym autobusem, który, choć stary, to wyposażony był w łóżka, fotele i małą kuchenkę. Inaczej mówiąc, był przystosowany do koczowniczego trybu życia. Przypominam sobie, że Björn był u nas częstym gościem. Być może jego małżeństwo z Agnethą już wtedy powoli zaczęło się rozpadać i możliwe, że w spokoju wolał się przespacerować u nas w łóżku niż odbywać jazdę w towarzystwie żony. Były to czasy, kiedy żyliśmy jak jedna wielka rodzina – wspólne kolacje, całonocne imprezy. Wszędzie widoczny był ich szacunek dla nas, muzyków, bez pomocy których ABBA nigdy nie byłaby ABBA. Szacunek tego nigdy nie stracili i to właśnie tworzyło tak wspaniałą atmosferę. Nigdy nie doświadczyłem jakiegokolwiek bufonady z ich strony. Łączyły nas bardzo serdeczne, rzadko spotykane przy tego rodzaju zależnościach, koleżeńskie relacje. Jednocześnie z końcem letniego tournée z ABBA, zakończyłem współpracę z „Beatmakers”. Wkrótce zaproponowano mi pracę w Szwedzkim Teatrze Narodowym (Riksteatern), z którym współpracowałem przez następny rok w charakterze dyrygenta oraz kierownika muzycznego.

Przez całe lato 1976 r. grałem w trio w Sztokholmie, w „Gröna Lund”. Była

to jedna z najprzyjemniejszych prac, jakie wykonywałem. Przede wszystkim byłem w domu, co podczas mojej kariery zawodowej rzadko się zdarzało. Grailiśmy dużo jazzu na świeżym powietrzu i z ludźmi, z którymi dobrze mi się współpracowało. Dodatkową atrakcją były światowe gwiazdy popu, rocka i jazzu, występujące tego roku na dużej scenie (tej samej, na której rok wcześniej grałem z ABBA). Któregoś dnia, pod-



Anders Eljas i Wojtek Ernest w londyńskim „Harrods”.

czas rozmowy z muzykami, ktoś z tyłu zasłonił mi oczy, oczekując bym zgadnął kim jest. Poczulem tylko, że były to ręce przyjemnie pachnącej kobiety. Po paru

nieudanych próbach, ku mojemu zdziwieniu okazało się, że była to... Frida, a obok stała uśmiechnięta Agnetha. Miały w pobliżu jakąś sesję fotograficzną. Przyznam, że zajęty własnym życiem niemal zapominałem o ABBIE, choć słyszałem, że ich kariera nabiera niebawemogo wprost tempa. Po krótkiej wymianie zdań zapytały mnie, czy nie miałbym ochoty towarzyszyć im w następnym tournée po Europie i... Australii. Zgodziłem się bez namysłu. Tym razem ze „starych” znajomych mieli uczestniczyć tylko Lasse Wellander i Finn Sjöberg na gitarach oraz ja na keyboardach. Pamiętam, że w dniu ich wylotu do Polski na nagranie słynnego programu w „Studio 2”, ABBA kończyła właśnie pracę nad programem w szwedzkiej telewizji, w którym także brałem udział. Prosto ze studia telewizyjnego zabrali Fridę, Benny'ego i Björna do specjalnego samolotu, który przyleciał po nich z Polski [Agnetha wyleciała dzień wcześniej]. Benny nawet zażartował pytając, czy się z nimi jednak nie zabiorę. Jakis czas potem otrzymałem kontrakt i tak się zaczęła nowa przygoda.

Europejskie tournée z ABBA w styczniu 1977 r.

Wielką podróż na drugą półkulę, najsłynniejsze i najbardziej niezwykle tournée ABBY, poprzedziły pełne sukcesów koncerty europejskie. Próby muzyczne

rozpoczęły się już w grudniu 1976 r. i odbywały się tradycyjnie w Bervaldhallen w sztokholmskim Koncerthus. Atmosfera jak zwykle relaksująca, ale

i pełna radosnego oczekiwania. Próby, których zawsze nie cierpiełam, trwały ok. dwóch tygodni. Jedynymi nowymi dla mnie twarzami w orkiestrze byli: młodziutki keyboardzista o pogodnej naturze – Anders Elias oraz saksofonista – Lars O. Carlsson. Szybko się zaprzyjaźniliśmy [Anders Eljas współpracował potem wielokrotnie z ABBA i pomagał w aranżacjach licznych piosenek]. Celem tych prób było przede wszystkim zgranie wszystkich tak, by na żywo osiągnąć brzmienie jak najbardziej podobne do płytowych oryginałów. Trochę denerwujące było ciągle przerywanie muzyki przez choreografa. Już wtedy oprawa choreograficzna była niemniej ważna od samej muzyki. Po zakończeniu tego stadium przygotowań, przenieśliśmy się do sal Europa Film Studio [szwedzkie studia filmowe], by tam sfinalizować ustawienie całego widowiska.

Przypominam sobie pierwszy dzień tych prób. Na scenie, przy naszych instrumentach, kręcili się jacyś mówiący po angielsku, nieznanymi nam ludźmi. Kiedy podeszliśmy do naszych klawiszy jeden z nich przedstawił się mniej więcej w taki sposób: „Cześć! Mam na imię Nick. Jestem geniuszem. Właśnie skończyłem tournée z Eltonem Johnem. Teraz ja i moi chłopcy będziemy się opiekować sekcją klawiszy. Spełnimy każde wasze życzenie i mam nadzieję, że będzie się nam fajnie współpracować”.



Nick, opiekun sekcji klawiszy.

Po takim przedstawieniu zaproponowałem Andersowi, abyśmy kupili im butelkę dobrej whisky. Chłopcy byli niezmiernie wdzięczni za ten gest i naprawdę do końca naszej współpracy byli nam bardzo życzliwi i pomocni. Muszę przyznać, że rozmach oraz wielkość tej imprezy przechodziła nasze najśmielsze wyobrażenia. Szwecja, choć wielki kraj, to jednak z powodu małej populacji i dotychczasowego braku gwiazd muzyki pop o światowej renomie, była na tym podium kaczym kuprem. W latach 70., to najprawdziwszy socjalizm, wszyscy mieli jednakową wartość. Wszystko

jedno, czy z gwiazdą czy bez, na dotychczasowych tournée (a wykonałem ich wiele z przeróżnymi artystami), sami pakowaliśmy, nosiliśmy i ustawialiśmy instrumenty. Dlatego taki przeskok był dla nas, muzyków, czymś naprawdę niewyobraźnym – każda sekcja instrumentów miała swoich pracowników, których jedynym zajęciem było doprowadzić sprzęt przed występem do stanu najwyższej gotowości.

Premiera tego tournée miała odbyć się w Oslo [ABBA między 28 stycznia a 17 lutego 1977 r. koncertowała w Norwegii, Szwecji, Danii, RFN, Holandii, Belgii i Wielkiej Brytanii]. Miejscem zbiórki był położony w sercu Sztokholmu hotel „Sheraton”. Po pożegnalnym drinku, udaliśmy się na lotnisko Arlanda i po krótkim locie wylądowaliśmy w Oslo. Stolica Norwegii przywitała nas piękna, mroźną pogodą. Zatrzymaliśmy się w starym, renomowanym hotelu „Ambasador”, gdzie jeszcze tego samego wieczoru, miałem przyjemność poznać ciotkę Fridy [Frida była niesławnym dzieckiem Norweżki z Narviku, Synni Lyngstadt, i stacjonującego tam podczas okupacji żołnierza Wehrmachtu, Alfreda Haasego; po śmierci matki wyemigrowała z babcią do Szwecji; swojego ojca odnalazła dopiero w październiku 1977 r.]. Spędziliśmy razem w barze hotelowym miłe chwile, niemniej wyczuwałem u Fridy pewnego rodzaju niepokój. Zresztą nie ma się co dziwić. Na „swoim podwórku”, przed swoimi fanami, tremę odczuwa się podwójnie. Podczas premierowego koncertu [miał on miejsce 28 stycznia 1977 r. w Ekebergshallen] honorowymi gośćmi była rodzina królewska [królowa Sonja i książę Harald], której po występie zostaliśmy przedstawieni. Hm, nie każdego dnia w swoim życiu ma się okazję uściśnąć królewską dłoń... Z recenzji prasowych dowiedzieliśmy się, że przedstawienie zostało fantastycznie przyjęte i tego rodzaju opinia krytyków towarzyszyła nam przez resztę tournée.

Następny koncert [29 stycznia 1977 r.] odbył się w Göteborgu. Pamiętam dobrze nasz lot – ze względu na burzę śnieżną nie mogliśmy wylądować. Krążyliśmy nad lotniskiem chyba ze dwie godziny. Co mnie zastanawiało? Pojawiające się od czasu do czasu z góry (!) światło. Nie było to słońce i nie mogły to być lotniskowe reflektory. UFO? Kto wie! Stig Andersson [przedsiębiorczy i despotyczny menadżer ABBA, twórca ich komercyjnego sukcesu] był wyraźnie

przestraszony, bratał się z każdym muzykiem, co mu się zwykle nie zdarzało. Ile dodatkowych drinków wtedy zostało wypitych, o tym historia milczy. W końcu jednak, choć „z hukkiem”, wylądowaliśmy, czego najlepszym świadectwem jest dalsza kariera ABBA. Życie na takich „zawodach” po pewnym czasie staje się monotonne. Lotnisko, wylot, nowe miasto, nowy kraj, nowy hotel, próba dźwiękowa, koncert, party po koncercie, nocleg, lotnisko, wylot... I tak w kółko. Ale w telewizji lub na filmie może to wyglądać nawet efektownie.



Wojtek Ernest i Malando Gassama w Belgii.

Oto jedno z ciekawych wydarzeń, niekoniecznie natury czysto muzycznej. W jednym z miast Belgii perkusista Malando Gassama, z którym przybyłem nieco spóźniony, nie został wpuszczony na bankiet na naszą cześć. Lojalnie odmówiłem wejścia do tego klubu i wraz z Malando udaliśmy się do klubu afrykańskiego, gdzie spędziłem niezapomniane chwile. Z Malando byliśmy przyjaciółmi, niemalże sąsiadami. Mieszkał kilkudziesiąt metrów ode mnie. Pochodził z Gambii. Byłem tam kilkakrotnie, nawet poznałem członków jego rodziny. Chyba w styczniu 1999 r., podczas produkcji programu muzycznego w tamtejszej TV, którego miał być główną postacią, zasłabł. Zmarł na serce w drodze do szpitala.

Niezłym przeżyciem był też występ w londyńskim Royal Albert Hall. Marzenie nie tylko muzyka popowego. Zastanawiam się, czy ostatnim polskim muzykiem grającym na instrumencie klawiszowym w tej sali przede mną nie był przypadkiem... Ignacy Jan Paderewski.

Anglia była ostatnim krajem tury europejskiej. Podczas lotu z Londynu do Sztokholmu wydarzyła się zabawna sytuacja. Tym samym samolotem leciał ówczesny żużlowy mistrz świata, Szwed – Anders Michanek, oraz angielskie bożyszcze piłki nożnej wszech czasów – George Best. Dla mnie, starego kibica



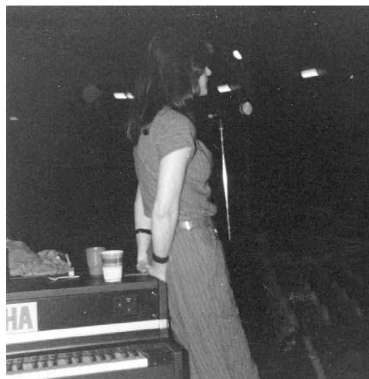
ABBA na wycieczce.

piłki nożnej i szwajcarskiej „Pogoni”, było to nie lada przeżycie – oczywiście skorzystałem z okazji i zamieniłem z nimi kilka zdań. Zabawna sprawa – podczas naszej wesołej konwersacji co chwilę ktoś podchodził prosząc o autograf... właśnie mnie. Mieliśmy wtedy na sobie ubrania, na których było wielkie logo ABBY, i pewnie to było przyczyną, że na znakomitych mistrzów nikt nie zwracał uwagi. Powróciliśmy do domów zmęczeni, ale pełni chwały. Powrót był dla nas wszystkich lekkim szokiem. Po huczonym, światowym życiu, spokój i szwedzka cisza były wręcz przerażające. Zresztą taka regeneracja sił i solidny odpoczynek były nam po prostu potrzebne. Popularność i entuzjazm fanów ABBY był wtedy w Europie niewyobrażalny. Ale była to jedynie dziecinna igraszka w porównaniu z tym, co miało spotkać ABBE na drugiej półkuli...

Australia, marzec 1977 r.

Po kilkudniowym odpoczynku i próbach, których celem było dokonanie jedynie drobnych korekt w całym przedstawieniu, nadszedł w końcu długo oczekiwany dzień wyjazdu do Australii. Tradycyjnie – „Sheraton”, pożegnalny drink i podróż, tym razem daleka, przerywana kilkoma międzylądowaniami, trwająca grubo ponad dobę [ABBA przyleciała do Sydney w niedzielę 27 lutego wieczorem]. Na lotnisku w Sydney zdarzyła się kolejna zabawna sytuacja. Przy odprawie celnik stemplujący mój paszport zaczął mówić do mnie coś kompletnie niezrozumiałego. Byłem nastawiony na język angielski, a jego słowa w ogóle do mnie nie docierały. Dopiero

stojący obok gitarzysta Lasse Wellander zwrócił mi uwagę: „Wojtek, on chyba mówi do Ciebie po polsku” (Lasse nie znał ani jednego polskiego słowa). Zmęczeni, lecz pełni oczekiwań, udaliśmy się do luksusowego hotelu „Chateau Comodore” położonego niedaleko centrum [sama ABBA mieszkała w innym hotelu – „The Sebel Town House”]. Jakże przyjemnie było znów wyciągnąć się w wygodnym łóżku.



Frida obok fortepianu „Yamaha”. Kto na nim wtedy grał, pozostawiam wyobraźni czytelników...

Skoro Australia leży po drugiej stronie globu, to chyba wszystko, nie tylko ludzie, może się wydawać, że jest przewrócone do góry nogami. Opuściliśmy Europę zimą, a wylądowaliśmy w Australii latem. Kiedy w Europie ludzie kładą się spać, w Australii idą do pracy. Na aklimatyzację dostaliśmy prawie tydzień. Przypomina mi się kolejne zabaw-

ne zdarzenie. Obudziłem się ok. godziny 6 rano i zapragnąłem przejść się do miejscowego Hyde Parku. Skoro londyński już zwiedziłem, to dlaczego nie zobaczyć tego w Sydney? W recepcji spojrzeli na mnie jak na wariata, ale zapewne do takich dziwactw byli przyzwyczajeni – zostałem zaopatrzony w dyrektywy i życzenia udanego spaceru. Hyde Park znajdował się zresztą niedaleko hotelu, ale udało mi się zablądzić. Był to chyba niedzielny poranek. Ulice puste. W pewnej chwili zauważyłem zbliżającego się mężczyznę, którego zapytałem w najgrzeczniejszej angielszczyźnie: „Excuse me sir. Could you please tell me how to get to the Hyde Park?”. Na co ów pan w poprawnej polszczyźnie odpowiedział: „A to, proszę pana, tuż za rogiem. W zasadzie to ogrodzenie, przed którym stoimy, jest właśnie ogrodzeniem Hyde Parku”. Rozpoznał rodaka po akcencie... Odprowadził mnie potem do hotelu, gdzie przy porannej kawie, opowiedział niezwykle ciekawą historię swojego życia.

Muszę przyznać, że tak zwane życie socjalne w Australii miałem ustawione jeszcze przed wyjazdem. Przyjaźniłem się wówczas z tancerką opery w Sydney, Heather B., której przyjaciółka, zamężna ze Szwedem o imieniu Torkel, czekała na mój przyjazd. Okazali się parą niezwykle sympatycznych ludzi, a ich gościnność oraz dbałość o mój tzw. „well-being” (dobre samopoczucie) przeszły moje najśmielsze oczekiwania. Torkel ciągle wymyślał nowe eskapady. Jedną z nich była wizyta w polskiej restauracji. Była dość duża, piętrowa, o dziwo zupełnie pusta. Właściciel, kiedy dowiedział się, że ma gościa współpracującego z ABBA i na dodatek, że ten gość jest Polakiem, otworzył nie tylko swoje serce. Kuchnię i bar także. Towarzyszył nam przyjaciel Torkela, pochodzenia indyjskiego. Okazało się potem, że jego ojciec, mój wujek i właściciel restauracji brali udział w bitwie o Monte Cassino. Można sobie wyobrazić co było tematem naszych konwersacji na tej wspaniałej biesiadzie. Za gościnność zrewanżowałem się biletami na premierowy koncert ABBY w Sydney. Dodam jeszcze, że takie bilety w Australii były warte majątek. Wszystkie wykupiono grubo wcześniej, a na czarnym rynku ceny dochodziły do niewiarygodnych pułapów.

W tym samym czasie w Australii przebywała królowa Wielkiej Brytanii Elżbieta II. Miał wtedy też odbyć się mecz krykieta Australia - Anglia, który ma tam mniej więcej takie znaczenie, jak dla nas mecz piłki nożnej Polska - Niemcy. Krykieta w Australii jest jednym z najpopularniejszych sportów, a zwycięstwo nad Anglią na każdym polu to sprawa honoru narodowego. Jednak to ABBA była największą atrakcją sezonu. To ABBA figurowała tłustym drukiem



ABBA na wycieczce.

na pierwszych stronach gazet. To ABBA zajmowała pierwszy plan w wiadomościach telewizyjnych i radiowych. Gdzie się człowiek nie ruszył, wszędzie była ABBA i ABBA. W telewizji reklamowano nieomal wszystko: poduszki ze zdjęciem ABBY – „śpij z ABBA”, skarpetki ze zdjęciem ABBY – „spaceruj z ABBA”. ABBA widniała na papeterii, kosmetykach, witrzynach sklepowych i reklamach taksówek. Przed hotelami od rana do nocy stały tłumy skandujące: „We want ABBA!”. To było niesłychane! Nie jestem pewien, czy jakkolwiek grupa kiedykolwiek w historii osiągnęła taki stopień popularności, jaki ABBA osiągnęła w Australii.

Podczas jednego z wolnych przedpołudni odbyła się zorganizowana przez australijskich producentów tego tournée wycieczka na wyspę „zaludnioną” fokami [było to prawdopodobnie 2 marca 1977 r.; próby miały miejsce wieczorem]. Popłynęliśmy prywatnym stateczkiem, na który nikt spoza grupy nie miał wstępu. Z tej wycieczki zachowałem kilka fotografii, o strasznej wprawdzie jakości technicznej, ale o prywatnym i chyba unikalnym charakterze.

Czas premiery zbliżał się nieubłaganie. Po kilku dniach aklimatyzacji nadszedł okres prób oraz przystosowania całego show do warunków australijskich. Koncerty miały odbyć się na arenie miejscowego stadionu krykietowego. Nie potrafię teraz dokładnie oszacować, ale był to obiekt mieszczący kilkudziesięcioletnią publikę. Choć do premiery było jeszcze kilka dni, wzdłuż ogrodzenia już koczowali ludzie, tylko po to, by kiedy otworzą już bramy, jako

pierwsi zjawić się na stadionie i zająć jak najlepsze miejsca. Oczywiście wszyscy z materacami, wałkówką i napojami, zapewne nie tylko chłodzącymi. Wrażenie niesamowite. Na próby na stadion docieraliśmy autokarem, a owacje od biwakującej tam publiky przed rozpoczęciem uciążliwych prób dodawały energii i poprawiały samopoczucie.

Oprócz własnych instrumentów cały sprzęt nagłaśniający, który zajmował kilka ogromnych ciężarówek, pochodził z Australii. Obawiam się, że koszt transportu sprzętu, którego używaliśmy w Europie, byłby zbyt duży i dlatego organizatorzy przygotowali australijską kopię wszystkiego. Z małą modyfikacją – w Australii ABBA po raz pierwszy w swojej karierze miała wykorzystać sekcję smyczków (skrzypce, altówki, wiolonczele) [takie były warunki umowy między ABBA, a australijskimi organizatorami, którzy na scenie chcieli widzieć także rodzimych artystów i to dokładnie tyłu, ilu członków liczył zespół ABBY; z szesnastoma muzykami ABBY na scenie występował narrator w mini-musicalu „The Girl With The Golden Hair” – angielski aktor Francis Matthews; dlatego w wykonaniu piosenek „Dancing Queen” i „I Wonder” wzięło dodatkowo udział 17 muzyków z Australii]. Z tyłu, za sceną, zamontowa-

no dodatkową, hydraulicznie podnoszoną i „wynurzającą się znikąd” platformę, by w końcowej fazie stworzyć jeszcze jeden stopień sceny. Musiało to wyglądać niezwykle efektownie. Przy sprzęcie pomagali nam wypróbowani na europejskiej ziemi Anglicy.

O ile nie byłem specjalnie zachwycony samymi próbami, to jednak lubiłem tzw. „sound checki” – próby ustawienia dźwięku. Wtedy, na wielkiej sali lub na powietrzu, można było naprawdę ocenić wartości brzmieniowe elektrycznych instrumentów. Nowością w tamtych latach był fortepian elektryczny marki „Yamaha”.

Podłączony do całej masy głośników oraz umiejętnie zmiksowany brzmiał rewelacyjnie. Kochałem te chwile, można było sobie swobodnie poimprowizować, bez „gwaru” innych instrumentów, a jedynym czynnikiem przeszkadzającym była... własna niedoskonałość. Podczas jednej z takich intymnych chwil sam na sam z instrumentem poczułem szturchnięcie w plecy. Lekko poirytowany odwróciłem się i zobaczyłem kobietę trzymającą w jednej ręce skrzypce, a w drugiej smyczek, którym mnie poszturczywała. „Cześć! Mam na imię Elżbieta. Mówisz po polsku?”. Była to mieszkająca w Sydney skrzypaczka, Elżunia Gajewska, która została zaangażowana do wyżej wspomnianej sekcji smyczków.

Ciekawe, jak losy polskich muzyków na obczyźnie spłoty się w jednej z największych atrakcji muzyki popowej ubiegłego stulecia! Na początku lat 70.



Elżunia Gajewska (pierwsza z lewej).

czwórcie młodych artystów szwedzkich występujących w restauracji, akompaniuje polska grupa „The Lolas”. Kilka lat później dwóch muzyków z tej grupy, Piotr Kot i Zbyszek Ryfa, oraz ja – z innej konstelacji – bierzemy udział w pierwszym tournée ABBY. Po upływie kilkunastu miesięcy wciąż uczestniczę w grupie akompaniującej, a w Australii dołącza się jeszcze Elżunia Gajewska.



Samolot, którym podróżowaliśmy.

Dlaczego akurat my, Polacy, a nie Rosjanie, Amerykanie, Anglicy czy Niemcy? Najprawdopodobniej był to czysty przypadek, ale może właśnie nasza udręczona ojczyzna potrzebuje takich malutkich miłych zdarzeń... Jeżeli tak, to jestem dumny, że i ja, szczecinianin, mogłem przysporzyć Polsce odrobinę splendoru.

Lato w Australii dobiegało końca. W związku z tym następowały coraz częstsze opady deszczu. Tym, którzy nie przeżyli tropikalnych lub półtropikalnych gwałtownych deszczów, trudno będzie wytłumaczyć to zjawisko. Niemniej przy użyciu odrobiny wyobraźni oraz jednego z polskich powiedzeń (które jak zwykle przy tego rodzaju okazjach są niezawodne) muszę rzec, że lato jak z cebra.

Dzień premiery nie zapowiadał początkowo niczego niepokojącego [koncert odbył się w środę, 3 marca 1977 r.]. Mogę się mylić, ale cebrzyk przechylił się dopiero po otwarciu bram. To było jeszcze jedno niesamowite przeżycie. Jak jakieś ogromne stado koni – tłumy ludzi wpadających na murawę boiska, poszukujących lepszego miejsca, z którego mogliby podziwiać swoje tak długo oczekiwane bożyszcza. Wszystko to było niemal bliskie obłędu. Krzyki, piski, nawoływania, gorączka. I właśnie w tym momencie Wszchemocny postanowił ochłodzić te rozgrzane głowy. „Niech będzie deszcz” – i tak też się stało.

Samego przebiegu koncertu nie pamiętam. Na pewno rozpoczął się później. Chyba prowizorycznie zawiesili jakąś płachtę z tworzywa sztucznego nad sceną, ale to niewiele pomogło. Czy to dziury, czy też przerwy między plach-

tami, deszcz na scenę walił strumieniami. Stig Anderson, ubrany w biały smoking i muchę, na kolanach wycierał ręcznikami wodę ze sceny, co było nie lada i wartą do obejrzenia atrakcją. Dopiero po powrocie do domu (w Sztokholmie odbyła się światowa premiera nakręconego podczas tego tournée filmu „ABBA - The Movie”, na której byliśmy honorowymi gośćmi) zdałem sobie sprawę z tego, jak niebezpieczny był ten pierwszy koncert. Jestem pewien, że przy takich warunkach atmosferycznych, w Szwecji nie dopuszczono by do występu. Ale przeżyliśmy. Następnego dnia wspomniałem recenzje, ogólny

zachwyt oraz cudowny bezchmurny wieczór, który pozwolił nam na przeprowadzenie drugiego koncertu w Sydney, tym razem już w normalnych warunkach. Po pożegnalnym bankiecie (beach party) nadszedł czas pożegnać metropolię wraz z gronem nowo zapoznanych przyjaciół.

Następnym etapem przygody było Melbourne. Ale zanim to nastąpiło, na lotnisku w Sydney czekała na nas kolejna niespodzianka w postaci... prywatnego samolotu. Muszę przyznać, że wyglądało to imponująco. Przy wejściu czekały na nas dwie stewardessy z szampanem i owocami. Oczywiście miejsca nie były numerowane. Podczas lotu panowała bardzo przyjemna atmosfera. Nawet zwykle lękliwa Agnetha lepiej znosiła loty w wesołym towarzystwie. Najpopularniejszym miejscem okazało się przejście między siedzeniami, gdzie zbierały się grupki zainteresowane tym samym tematem konwersacji. Miałem wielką ochotę, by odbyć tę podróż jedną z wielkich ciężarówek, ale nie pamiętam, dlaczego ta idea nie wypaliła. Zdziwionym dlaczego chciałem podróżować drogami, mogę powiedzieć, że kilkugodzinny lot samolotem, podczas którego widzi się najczęściej tylko dno kielicha od szampana, nie daje tylu wizualnych wrażeń, ile daje podróż samochodem.

Melbourne przywitano nas przyjemną pogodą i jakimś świętem [ABBA przybyła tam w sobotę, 5 marca 1977 r.]. Pamiętam jak z zaciekawieniem przyglądałem się świętującym tłumom w miejskim parku oraz zostałem urzeczony pięknem miejscowych tramwajów. I tym razem mieszkaliśmy w luksusowym hotelu z dyskoteką i basenem na dachu 14. piętra.



Agnetha gdzieś nad Australią.



Zespół ABBA na dachu hotelu. Od lewej: Rutger Gunnarsson, Lars O. Carlsson, Ola Brunkert, Wojtek Ernest, Lasse Wellander.

Zjadłem okazyny lunch z mamą mojej przyjaciółki Heather oraz jej bratem, którzy mieszkali w Melbourne. Wręczyłem im przy okazji parę biletów na występ, za które byli mi niezwykle wdzięczni. Koncerty, jak zwykle, były bardzo udane [ABBA dała w Melbourne dwa koncerty, 5 i 6 marca 1977 r.]. Tysiące przyjaznych gardel oraz klaszczących dłoni powodowały, że ta już wcześniej zgrana „maszyna” pracowała na pełnych obrotach.

Kolejnym etapem tournée była Adelajda. [ABBA przybyła tam we wtorek, 8 marca 1977 r. i dała jeden koncert tego samego dnia]. Całą podróż przesiadaliśmy razem z Elżunią Gajewską. Puchar z szampana oraz miła rozmowa po polsku naprawdę nie tylko uprzyjemniła samą podróż, ale dała też odrobinę relaksu i wypoczynku od ogólnego hałasu, który zawsze towarzyszył takim wyprawom. Elżunia, która już była w Adelajdzie akompaniując słynnemu Frankowi Sinatra, obiecała mi niespodziankę. Późnym popołudniem zamówiła taksówkę, lecz w dalszym ciągu nie zdradzała celu podróży i istoty niespodzianki. Pojechalismy, zrobił się wieczór, zniknęły domy i zbudowania, zostaliśmy tylko my w taksówce na szosie prowadzącej między polami winogron... donikąd. Po około godzinnej podróży wyłoniło się kilka zabudowań, z których jedno okazało się starą karczmą, przed którą była celem naszej wyprawy. Wnętrze przypominało niemiecką Gaststätte. Dostyc obszerna sala z barem sprawiała bardzo miłe i przytulne wrażenie. Na maleńkiej estradce przygrywało dobrej klasy jazzowe duo: organy (Hammond

B3) i perkusja. Poza nami, żadnych innych gości. Właściciel, kiedy dowiedział się, że jesteśmy członkami grupy akompaniującej ABBA, zamknął karczmę dla gości, a dla nas otworzył – jak w przypadku polskiej restauracji w Sydney – serce wraz barem i kuchnią.

Nie pamiętam co jedliśmy i piiliśmy. Na wstępie zaprosił nas do piwnicy, w której stały duże beczki z winem, a na półkach spoczywały zakurzone butelki. Gościnność tego człowieka nie znała granic. Nie jest dziwne, że zabawiliśmy w tej piwnicy trochę dłużej niż by wskazywał na to zdrowy rozsądek. Wszystkie przysmaki, które degustowaliśmy, były własnoręcznie przyrządzone przez właściciela. Kiedy odegrałem na organach kilka standardów jazzowych, muzycy i właściciel zostali pokonani na całego. Rzadko kiedy oczekuje się po muzykach popowych bardziej zaawansowanych umiejętności instrumentalnych, tak potrzebnych do grania jazzu. Kiedy nadszedł czas powrotu poprosiliśmy, aby zadzwonił po taksówkę. Nie chciał nawet o tym słyszeć. Kazał synowi odwieźć nas do Adelajdy, a ten, kiedy już na miejscu chciałem wsunąć mu kilka dolarów za fatywę, stanowczo odmówił motywując tym, że ojciec byłby z tego bardzo niezadowolony. Było to niezapomniane przeżycie. Miałem okazję być w wielu krajach, poznać mnóstwo ludzi oraz przeżyć multum zdarzeń, lecz ta wyprawa „donikąd”, pośród winnic niemieckich emigrantów, pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Niestety, po powrocie Elżunia zakomunikowała, że wcześniej zakontraktowane występy zmuszają ją do wyjazdu do

Sydney. Straciłem nie tylko przesympatycznego towarzysza podróży, ale także znakomitego przewodnika po wielkiej australijskiej krainie.

Ostatnim przystankiem w Australii było Perth [ABBA przybyła tam w środę, 9 marca 1977 r.]. Zatrzymaliśmy się w hotelu „Parmelia”. Do tej pory, o ile dobrze pamiętam, muzycy mieszkali w osobnym hotelu, co dawało trochę wytchnienia od entuzjazmu fanów. Tym razem w „Parmelii” zamieszkała cała grupa. Mniej więcej od świtu do zmierzchu pod hotelem stały tłumy ludzi, skandując bez ustanku: „We want ABBA! We want ABBA! We want ABBA!”. Choć to może zabrzmieć dziwnie, wieczorne wyjście na koncert, gdzie czekały kolejne tysiące „We-want-Abbowiczów”, był pewnego rodzaju ulgą. Od czasu do czasu muzyce udawało się zagłuszyć narodowy entuzjazm fanów [ABBA dała w Perth aż pięć koncertów, po dwa – 10 i 12 marca, oraz jeden – 11 marca 1977 r.]. W tym samym czasie w Perth przebywała słynna wokalistka Roberta Flack i gwiazda amerykańskiego rocka Alice Cooper. Spotykaliśmy się codziennie wokół basenu hotelowego, dzieląc się doświadczeniami z życia koncertowego oraz spostrzeżeniami dotyczącymi Australii. W sali baru hotelowego występował wtedy światowej sławy francuski skrzypek jazzowy Stephane Grappelli. Odegranie kilku standardów z tym znakomitym muzykiem także należy do niezapomnianych chwil.

Pierwszy z koncertów w Perth został nagle przerwany. Otrzymaliśmy komunikat z policji, aby natychmiast opuścić budynek. Rzekomo ktoś podłożył bombę na sali. Było to tak surrealistyczne, że upłynęło kilka dobrych chwil, zanim dotarło do naszej świadomości. Nie pamiętam ile czasu minęło, ale okazało się, że był to tylko niesmaczny żart. Tę niespodziewaną przerwę wykorzystaliśmy na zrobienie własnego show na ulicy, gdzie główną rolę odegrał Anders Eljas, wygrywając na skrzypcach skoczne szwedzkie melodie do złudzenia przypominające polskie mazurki. O dziwo, te ludowe tańce w Szwecji są generalnie umiészzone pod nazwą... polska. [polska (pols, polskor) – szwedzki taniec figurowy pochodzenia polskiego, w takcie 3/4, w tempie żywym, przypominający czasem mazura, często z kadencjami poloneza; cechy polskich tańców przyjęły się w Szwecji w XVIII w. i przenikały do innych krajów skandynawskich; polska należała w Szwecji do najpopularniejszych tańców tradycyjnych, grywanych w eleganckich salonach i na wiejskich weselach]. Po ponownym zapełnieniu sali, dogralismy koncert do końca.

Wszystko ma swój koniec. Tournée, choć pełne sukcesów, było wyczerpujące. W tym samym czasie szwedzki (dziś

renomowany) reżyser, Lasse Hallström, kręcił film pt. „ABBA – The Movie”. Michael Tretow nagrywał na żywo koncerty, z których nagrania trafiły do filmu i na płyty koncertowe. Party, bankiety, spotkania – to wszystko wymagało energii, która kiedyś musi się wyczerpać. I choć ze smutkiem, to jednak nadszedł czas pożegnania z przygodą w tym pięknym i niezwykle gościnnym kraju. Ale nie dla wszystkich. Mała grupa muzyków, w tym ja, postanowiła przedłużyć pobyt w Australii i przeznaczyć go na kilkutygodniowy urlop.

Dla kontrastu: następnego dnia po wyjeździe ABBY premierowo koncertował w czasie swojego tournée wspomniany wcześniej Alice Cooper. Przed hotelem stały... aż dwie fanki, ubrane w koszulki z jego logo.

I co dalej?

Po powrocie do domu, pomimo wielu już wcześniej podjętych zobowiązań, które musiałem zrealizować, nastąpiły nieuniknione refleksje. Co dalej?

Otrzymałem ofertę na tournée z bardzo wtedy popularnym angielskim zespołem „Smokie”. Odmówiłem... Anders Eljas organizował grupę akompaniującą szwedzkiemu artyście, który nazywał się Björn Skifs, i zaproponował mi współpracę. Przyjąłem. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi. W grupie tej miał grać też Lasse Wellander, więc czemu nie? Jednocześnie podjąłem pracę w teatrze, starając się wydobyc z ówczesnych elektrycznych smyczków przynajmniej przedsmak przepięknej muzyki Stephena Sondheima („A Little Night Music”), resztę czasu wypełniała mi praca w studiu. Między innymi nagrywałem muzykę do późniejszego musicalu Benny’ego i Björna pt. „Chess”. Można więc powiedzieć, że nie miałem czasu na refleksje. A jednak... Pytanie, co dalej i w jakim celu, coraz częściej mnie nurtowało.

Jako nie śpiewający popowy klawiszowiec osiągnąłem szczyt. ABBA w tym czasie była absolutnym „number one” na świecie i właściwie każda następna praca w tej dziedzinie muzyki byłaby pewnego rodzaju degradacją. Tego chciałem

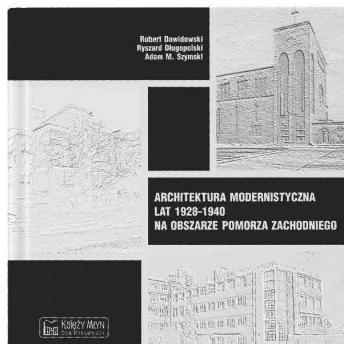
uniknąć. Jak zwykle w moim życiu z pomocą przyszedł przypadek. Znajomy gitarzysta przyniósł mi do domu trąbkę, którą chciał sprzedać, poprosił mnie o jej wycenę. Dodam, że choć już zakończyłem karierę muzyczną, ta trąbka jest w dalszym ciągu w moim posiadaniu. Stara miłość nie rdzewieje. Po wydobyciu kilku dźwięków ponownie zostałem urzeczoney pięknem tego instrumentu, z którym pozostałem w przyjaźni przez następnych kilkanaście lat mojego życia. Trąbka ta towarzyszyła mi w podróży do Los Angeles, gdzie mieszkałem ponad rok, i do Bangkoku, gdzie spędziłem dziesięć najpiękniejszych lat życia. Tam zaś kolejny przypadek spowodował, że zająłem się z niezmierną pasją... genealogią. Ale to już materiał na zupełnie inną historię.

Voyteck Ernest

Sztokholm, czerwiec 2007 r.
i styczeń 2008 r.

SZCZECINER POLECA

Wznowienie wyjątkowej serii monografii o architekturze POMORZA ZACHODNIEGO



Szukaj w szczecińskich księgarniach
oraz na www.km.com.pl

Księży Młyn
DOM WYDAWNICZY
Książki dla ludzi ciekawych

